Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. Kraków, dnia 25. Kwietnia 1909 r. Nr. 17.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do Administracyi „Roli“ w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny L. 8. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Saletra chilijska i sposób jej użycia.

Ciągłe deszcze zeszłego lata i jesieni, które nie dozwoliły ani roli należycie uprawić, ani oziminy w swym czasie zasiać, sprawiły, że oziminy te w wielu miejscach lichy, a czasami bardzo lichy mają wygląd — i też takie rokują sprzęty. To też gospodarz, który w roku zeszłym wskutek dawno niepamiętnych klęsk elementarnych kolosalne poniósł straty, z obawą i lękiem patrzy na taki stan zbóż swych zimowych, obawiając się nie bez racyi, i w tym roku nie tęgich urodzai.

Dochodzi jeszcze do tego tak ciężki spozimek, że pod koniec kwietnia oziminy zaledwie ruszać się poczynają, a pod jarzyny dla mokrości w wielu miejscach i uprawiać jeszcze nie można. Są to smutne widoki, na które o ile się da, koniecznie lekarstwa szukać należy.

Lekarstwem takiem dopomagającym opóźnionym i licho stojącym zasiewom do szybkiego podreperowania się i dalszego szybkiego wzrostu, jest saletra chilijska.

Posiada ona tę czarowną siłę, że w cztery do sześciu dni po jej zadaniu wszystkie rośliny nabierają burego koloru, i jakby im kto drożdży poddał zabierają się do szybkiego rozwoju.

A w czemżesz leży ta czarowna siła saletry chilijskiej? Oto w tem, że zawiera ona najważniejszy pokarm roślinny, azot, w takim stanie, że rośliny natychmiast z niego korzystać mogą. Wiemy że nawóz stajenny, superfosfaty amoniakalne, siarczan amoniaku, zawierają także ów azot, a jednak żadne z nich nie działa tak szybko jak saletra chilijska. A to dla czego? Oto dla tego, że azot w tamtych nawozach zawarty, potrzebuje dłuższego czasu na to, ażeby się w ziemi rozłożył i przeszedł w formę kwasu saletrowgo, bo tylko w tej formie rośliny na

pokarm swój zużyć go mogą. Saletra chilijska zaś zawiera na 100 części swej zawartości około 15 części kwasu saletrowego, 35 części natronu, a resztę mniej ważnych pokarmów roślinnych i ziemi. Ten kwas saletrowy ma jednak to do siebie, że rozpuszczając się szybko w roli, uchodzi równie szybko do głębszych warstw zwłaszcza na lekkich gruntach jeśli go korzonki roślin w tej chwili nie chwytają. Wynika stąd ta nauka, że saletrę chilijską rozsiewa się na rolę dopiero wtenczas, kiedy wegetacya roślin jest już rozbudzona, i korzonki ich już funkcyę swoją sprawować mogą.

Wiemy o tem, że pszenica i żyto budzą się ze snu zimowego do życia, skoro słonko ogrzeje dostatecznie powietrze i ziemię. A że tak rośliny jak i nawóz, pierwsze do życia i rozwoju, drugie do rozłożenia się w ziemi potrzebują niezbędnie dobroczynnego działania powietrza, więc zadaniem rolnika jest ułatwić powietrzu dostęp do ziemi, której powierzchnia wskutek deszczy i tajania śniegów się zamknęła i zaszlamiła. Odnosi się to przedewszystkiem do cięższej gleby.

Dla tego też włóczy się na wiosnę z reguły i energicznie każdą pszenicę, a na zwięzłych rolach i żyto. I przed tą włoczką właśnie jest najodpowiedniejszy czas, aby dać pierwszą dawkę saletry. Używa się na morg oziminy około 50 kilogr. saletry, lecz że jak to już wyżej powiedziano, saletra łatwo się rozpuszcza i łatwo do głębszych warstw ziemi, gdzie jej młode korzonki roślin nie tak łatwo dosięgną ucieka, więc daje się przy rozbudzeniu wegetacyi tylko połowę tej dawki, a kiedy zboże już nieco podrośnie tj. w dwa do trzech tygodni później drugą połową. Lecz tak jak nie dobrzeby było dawać saletrę za rychło, tak również nie dobrze jest, zwłaszcza u żyta, dawać ją zapóźno, bo kiedy żyto dostaje już słupki i kłos się zawiązuje, wtenczas saletra już żytu nie wiele pomoże.

Liczne doświadczenia wykazały, że na rolach dobrze uprawionych i nie wyjałowionych nazbyt, saletra podnosi zbiory żyta i pszenicy o jedną trzecią część. A działa ona nie tylko przez to, że przez swój kwas saletrzany daje roślinom natychmiast najpotrzebniejsze im pożywienie, ale i przez to, że natron w niej zawarty dostarcza im pożywienia potasowego, a zarazem i nawóz w roli będący i inne cząstki pożywne ziemi rozkłada i na pokarm roślin zamienia.

Ale saletra chilijska wywiera swój wpływ cudowny nietylko na oziminy, lecz i na jęczmiona, owsy, a zwłaszcza na buraki cukrowe, czy pastewne działa zadziwiająco. Wzorowi i doświadczeni gospodarze nie siewają już wogóle płodów tych bez dodatku saletry, bo przekonali się tylokrotnie, że dodatek saletry opłaca im się sowicie. Na jęczmień i owies daje się pierwsze 25 kilo (na morgę) kiedy zboża te odrosną już na kilka centymetrów od ziemi, czyli jak się mówi, dostają trzecie piórko; drugie 25 kilo w 2 tygodnie później. Na buraki daje się 100 kg na morgę w dwóch albo w trzech dawkach, a to pierwszą dawkę kiedy się flance wyrzędują na radlance, drugą dawkę po przerwaniu, a trzecią w dwa tygodnie później. Na zboża rozsiewa się albo maszyną szerokorzutną, albo ręką tak jak zboże, na buraki zaś sieje się wprost na flance i naokoło nich. Ażeby zaś saletrę wszędzie równo rozdzielić, dodaje się do niej podwójną ilość piasku, przemięsza się dokładnie i razem z piaskiem wysiewa.

Tym, którzy jeszcze saletry nie używali, albo tym, którzyby żałowali na nią wydatku, a zachęcie niniejszej nie wierzą, radzimy zrobić na każdem polu choćby małą próbę, a jeśli wykonają takową wedle powyższych przepisów i rolę zresztą dobrze uprawią, to jesteśmy najpewniejsi, że odtąd zawsze saletry używać będą. *Wł. Wąsowicz.*

Kursa rolnicze w armii.

Od dłuższego już czasu zastanawiano się nad zaprowadzeniem kursów rolniczych w armii. Kursa takie miałyby przedewszystkiem na celu utrzymać wśród żołnierzy zamiłowanie do pracy rolnej, tak aby po ukończeniu służby wojskowej powracali na rolę, zamiast przechodzić do innych zawodów, zwłaszcza w mieście, co obecnie częstokroć się dzieje. Praktyczną próbę przeprowadzono niedawno w Czechach, w mieście Chebie w stojącym tam załogą 73 pułku piechoty. Inicyatywę do urządzenia kursu rolnego dał poseł hr. Leopold Kolowrat; usiłowania jego poparli agraryusze czescy. Pierwszy kurs liczył 40 uczestników; brali w nim udział żołnierze ze stanu rolniczego. Nauki udzielali nauczyciele miejscowej szkoły rolniczej. Rezultat próby był tak pomyślny, że wielu posłów i wojskowych zainteresowało się nim, a w najbliższej już zapewne przyszłości rozpoczną się starania o zaprowadzenie powszechnych kursów rolniczych w armii.

Tą samą sprawą zajął się w ostatnim czasie także rząd pruski, a pruskie ministerstwo rolnictwa w porozumieniu z ministerstwem wojny ułożyło i ogłosiło zasady próbnego wprowadzenia nauki rolniczej w armii. Zasady te w najogólniejszym zarysie są następujące: Nauka ma się odbywać w formie wykładów i pogadanek; uzupełnieniem jej mają być eksperymenta i ćwiczenia praktyczne na roli. Głównym celem nauki jest to, aby uczestnicy mogli następnie praktycznie zużytkować zdobyte wiadomości. Materyał naukowy obejmować więc będzie kwestye popularno-przyrodnicze, techniczno-gospodarcze i ogólno-gospodarcze. Wykładający ma zawsze podnosić znaczenie rolnictwa i zalety życia wiejskiego. Kurs obejmie przypuszczalnie 25 dni nauki, która odbywać się będzie w popołudnia sobotnie od końca października do końca marca, wykłady trwać mają jednę do dwóch godzin. Uczniami będą w pierwszym rzędzie żołnierze z drugiego i trzeciego roku, z zawodu gospodarze, robotnicy rolni lub rzemieślnicy wiejscy. Uczestnictwo w nauce będzie jednak zależne jedynie od ich woli, a komendy czuwać będą tylko nad tem, aby ci, którzy się dobrowolnie zgłoszą, rzeczywiście ukończyli kurs.

Ministerstwo zaleca też oficerom udział w kursie już to w celu kontroli, już to celem podniesienia znaczenia nauki. Nauczycielami będą profesorowie wyższych, średnich i niższych zakładów naukowych, dalej urzędnicy Izb rolniczych, związków i stowarzyszeń gospodarczych. Ministerstwo będzie się również starać, aby pozyskać, jako nauczycieli praktycznych rolników, zwłaszcza takich, którzy należeli dawniej do składu armii, jako oficerowie lub podoficerowie. Dla kawaleryi mają być urządzane osobne wykłady przez oficerów odnośnego pułku; tematem ich będzie hodowla koni, nauka o pielęgnowaniu zwierząt domowych, o chorobach bydlęcych.

Nauka ma się w zasadzie odbywać bez kosztów; tylko w wyjątkowych wypadkach rząd płacić będzie honoraryа, lub zwracać koszta podroży. Okazy, potrzebne do demonstracyj, będą wypożyczane z zakładów naukowych. Pożądane też jest, zdaniem rządu, rozdzielanie popularnych broszur i książek. Komendy wojskowe i kierownicy kursów będą pozostawać w stałym kontrakcie z korporacyami gospodarczemi, aby żołnierzom, którzy ukończyli kurs i opuszczają szeregi armii, ułatwić otrzymanie stosownych miejsc w gospodarstwach rolnych. Izby rolnicze zajmą się zbadaniem wyników tej akcyi i corocznie składać będą sprawozdania ministerstwu rolnictwa, względnie ministerstwu wojny.

Kiedy u nas powstanie coś podobnego?

Co słychać w świecie?

(Patrz rycinę).

Zaledwie uspokoiło się na Bałkanie po awanturach ze Serbią, zaczynają się nowe. W Turcyi, przed rokiem, bez mała, w lipcu 1908, samowładztwo zostało obalone przez t. zw. Młodoturków, tj. przez stronnictwo, które chciało zaprowadzić konstytucyę. Obrało do tego drogę rewolucyi i to rewolucyi wojskowej. Młodoturcy, pozyskawszy sobie oficerów, zbuntowali armię przeciw sułtanowi i pod groźbą złożenia go z tronu wymogli na nim konstytucyę i parlament.

Była to rewolucya bardzo „udana". Wojsko było po stronie rewolucyonistów, więc niczego obawiać się nie potrzebowali. Rychło jednak przeszły miodowe miesiące tej tak łatwym gwałtem zdobytej konstytucyi. Młodoturcy obiecywali ludowi różne swobody, dobrobyt, mniejsze podatki, wolność — jak to zwykle bywa u stronnictw, dobijających się władzy. Gdy do władzy przyszli, okazało się, że obietnic ani w części spełnić nie mogą, tak jak ich np. nie spełniają krzykacze-dziesiątkarze, bo są niemożliwe do spełnienia. Niezadowolenie ludu zwróciło się wtedy przeciw Młodoturkom i dało im się uczuć, gdyż zaczęli tracić zaufanie szerszych mas.

Zaufanie to zaczęło bardzo się zmniejszać, gdy ludność poznała że i ta obiecywana wolność młodoturecka dziwnie jakoś wygląda. Młodoturcy bowiem, chciwi wpływów i znaczenia, rozpoczęli „wymianę mózgów", tak jak gdyby uczyli się tego u wszechpolaków — i poobsadzali wszystkie urzędy i godności tylko swoimi ludźmi, myśląc, że tak najlepiej przy władzy się utrzymają. Co zaś najgorsza, wszyscy ci urzędnicy i dygnitarze, ministrowie, posłowie i t. d. byli niczem więcej jak narzędziami tajnego „komitetu młodotureckiego" czyli spisku, który poprzednio zrobił rewolucyę, po niej zaś kierował wszystkiemi sprawami państwa.

Zamiast więc jawnej samowładzy sułtana, dostali się Turcy pod tajną samowładzę „komitetu". Rząd jawny spełniał tylko polecenia tego spisku, wydawane tajnie, w gronie paru ludzi. Niewola u samowładcy zmieniła się w niewolę u paru oficerów wyższych, gdyż spisek młodoturecki przeważnie z oficerów się składał. Tak to wyglądała w praktyce wolność młodoturecka.

Gdy jeszcze młodoturcy, uczniowie francuskich radykałów (bo prawie wszyscy uczyli się w Paryżu) zaczęli kpinkować sobie z religii mahometańskiej i zapowiadać ustawy wprost przeciwne tureckim obyczajom religijnym, miarka się przebrała. Przeciw młodoturkom powstał ruch ludowy i we wtorek d. 13 kwietnia odbyła się w Konstantynopolu kontrrewolucya, która wywróciła rządy młodotureckie, spiskowcy musieli uciekać na prowincyę, na miejsce rządu młodotureckiego ustanowiono inny.

Młodoturcy nie dali za wygraną. Uciekłszy na prowincyę podburzyli część wojska, która przy nich została i posłali je przeciw sułtanowi, do Konstantynopola. W chwili gdy piszemy te słowa, nie przyszło jeszcze do bitwy między wojskiem zbuntowanem przez Młodoturków a wiernem sułtanowi. Prawdopodobnie jednak, gdyby Młodoturcy nawet zwyciężyli i znów narzucili krajowi swe jarzmo, to jeszcze sprawa by się nie zakończyła, gdyż Turcy nie pozwolą się uciskać garstce ludzi i kto wie, czy nie zacznie się długa wojna domowa między chciwymi władzy a raczej samowładzy Młodoturkami, a resztą ludności i reprezentującymi tę resztę partyami.

Jakie chować świnie?

Hodowla świń dla małorolnego gospodarza to jedna z najważniejszych gałęzi dochodu. Sprawa ta jest ważna jeszcze z tego powodu, iż obecnie ceny mięsa świńskiego znacznie podniosły się, a organizacye handlu trzodą chlewną pobudziły do chowu.

Chowając świnie, nie może być nam obojętną rzeczą, jaką rasę chowamy, albowiem rasa decyduje głównie o dochodzie, jaki mamy ze świn. Z tego powodu musimy się przedewszystkiem poznajomić choć pokrótce z rasami świń. Wszystkie rasy świń podzielić możemy na dwie wielkie grupy. Pierwsza z tych będzie więcej zbliżona do dzika, szczególniej w późniejszym wieku, a zatem będzie odznaczała się przodem silniej rozwiniętym od zadu, względną krótkością kadłuba, ściętym, wąskim zadem, dużą głową, stojącemi uszyma, długą sierścią.

Drugi typ świń to potomstwo pochodzące od ras południowych. Ogólne cechy takie. Całość więcej zbliżona do równego kloca, ustawionego na krótkich podpórkach. Główka mała, uszy wiszące, ryj krótki, zad szeroki, dobrze rozwinięty, wypukło zakończony.

Między tymi dwoma typami świń istnieje cały szereg świń pośrednich, które zbliżają się bądź to do jednego, bądź też do drugiego typu.

Do pierwszego typu należy nasza świnia polska, świna żuławska i westfalska.. Te rasy znane są u nas i bardzo są rozpowszechnione. Wadą tych ras jest ich późna dojrzałość, to znaczy, że taka świnia długo róść musi, by mogła osiągnąć pełną swą wagę, późno poczyna wydawać swą młodzież, na ogół bardzo źle się tuczy. Ale za to przez swą odporność na choroby, przez swą ogromną mnożność, przez niewybredność jedzenia, dobry apetyt, a po utuczeniu przez znakomitą w smaku słoninę pozyskała serca naszych wieśniaków, nie tracąc jednakowoż uznania dla swych zalet i u znawców. Jako materyał na szynki, a więc na sprzedaż w wieku 10—12 miesięcy, nie nadaje się zupełnie, albowiem

w tym czasie jest jeszcze niemormalnie zbudowana; długie chude nogi, wielka głowa, ściśnięty i słabo rozwinięty zad, czynią ją materyałem rzeźnym klasy trzeciej, stąd też w Wiedniu osiąga cenę najwyżej 80—90 hal. za kg. żywej wagi.

Świnia westfalska posiada te same zalety, co i nasza krajowa, tylko posiada lepszą budowę, jest więcej posukiwanym materyałem mięsnym. Lecz i jej daleko do poszukiwanej budowy. Świnia żuławska więcej podobna do naszej polskiej, stoi w pośrodku między świnią polską a westfalską. Na świnie westfalskie i żuławskie jest obecnie znaczny pokup, szczególniej na pierwsze, ale to raczej moda, niż racyonalna i celowa działalność, kierowana do stworzenia dobrego pogłowia świń w kraju, albowiem ten sam skutek osiągniemy naszą zwykłą świnią polską, nie potrzebując płacić znacznych sum za świnie westfalskie.

Drugi typ świń reprezentują świnie ras angielskich, głównie wielkie i małe Jorkszyry. Poza niemi oczywiście jest jeszcze cały szereg innych gatunków, z kórych jednakowoż żaden nie nabrał u nas takiego rozgłosu, jak Jorkszyry. Jorkszyry odznaczają się śliczną budową opasową, to znaczy, że części mniej użyteczne, jak nogi, głowa, brzuch wraz z trzewami bardzo słabo są rozwinięte, natomiast mięśnie, a zatem i szynki, polędwica, boczek, t. j. mięśnie żeber, są silnie rozwinięte. Poza tem w przeciwieństwie do naszych świń, które mają mięso chude, żylaste, łykowate, szczególniej w starszym wieku, a zatem na wyrób delikatnych wędlin nieodpowiednie, mają Jorkszyry mięso tak poprzerastane tłuszczem, że prawie w ustach się rozpływa. Słonina z Jorkszyrów jest więcej łojowata, więc też w smaku gorsza od naszej. Jorkszyry są bardzo wybredne w jedzeniu, na choroby mało odporne, mało płodne. Ale za to wcześnie dojrzewają tak, że sztuka 10-miesięczna jest już wyrosła i zdolna do użytku. Stąd też ten wielki i usprawiedliwiony pokup na Jorkszyry.

Teraz zastanówmy się, jakie rasy chować będziemy, by możliwie najlepiej wyjść na swoje i coś za trud nasz zyskać.

Przy wyborze ras do chowu pierwszym decydującym czynnikiem jest żądanie rynku, t. j. jaki rodzaj świń bywa najwięcej poszukiwany i najlepiej płacony, dalej ważną rolę gra odpowiednia płodność świń, odporność na zarazy, prędka dojrzałość, wybredność w karmie, przyzwyczajenie hodowcy do obchodzenia się z pewną rasą itp. mniej ważne okoliczności.

Żądania rynku zbytu są najważniejszym czynnikiem, a to z tego powodu, że decydują one o dobrej sprzedaży naszej sztuki. Rzeźnik, który kupuje od nas swinię, musi się liczyć z wymaganiami publiczności, której towar sprzedaje. Dla nas decydującym rynkiem jest Wiedeń i Praga, a więc wymagania tych miast są dla nas ważne. I tak te oba miasta wymagają towaru na szynki. Najlepsza szynka jest ze sztuki młodej 10—12 miesięcznej. Stąd też sztuki młode są zawsze, jak rok długi, poszukiwane, zaś z tych sztuk te są najlepiej płatne, które mają szynki dobrze rozwinięte, a zatem zad dobrze wykształcony. Poza szynką potrzebuje rzeźnik dobrego mięsa na pieczenie. Mięsa tego dostarczy sztuka, która będzie dobrze rozwinięta; stąd korpus okrągły, wałkowaty stale bywa poszukiwany, przeciwnie sztuka ściśnięta w sobie, karpiowata, dopiero w braku innych znachodzi nabywcę i oczywiście stale poważnie niższą otrzymuje cenę.

Na żądania rynku poza odpowiednią budową wpływa także i czas sprzedaży. Przy sprzedaży sztuk mięsnych jest mniejszego znaczenia, lecz przy sprzedaży sztuk opasowych wielką gra rolę. Galicya prawie jedynie dostarcza sztuk mięsnych. Tutaj więc konkurencya jest małą, więc nasze mięsne sztuki zawsze są dobrze płatne. Za to przy opasach spotykamy się na targach Wiednia z opasami węgierskimi, z którymi walczyć nie możemy. Więc w czasie, kiedy te świnie w wielkiej ilości są wysyłane do Wiednia, opas galicyjski stale nizką ma cenę. Wysyłać opas nasz wtenczas do Wiednia, to pewna strata. Szczęściem, że Węgry dzięki swym stosunkom hodowlanym, nie mogą przez cały rok obsyłać rynku wiedeńskiego. Czas ich wysyłki przypada na jesień i zimę. Stąd też im mniej towaru wysyłają na sprzedaż, tem lepsza cena za nasze opasy. Obecnie jest to pora, w której opasy nasze idą w górę, wysyłka ich może się już opłacić. Wprawdzie i w tym czasie są wahania, gdzie cena spada, a mianowicie w jakieś dwa tygodnie przed i po świętach Wielkiejnocy, lecz później cena znów do góry idzie, stając się najwyższą koło Zielonych Świątek.

Drugim ważnym czynnikiem jest odpowiednia płodność świń. Z ras wyżej wymienionych najpłodniejszą rasą jest nasza krajowa, dalej żuławska, po niej westfalska, na ostatku stoją Jorkszyry. Tutaj każdy przecież namacalnie widzi swój interes, gdy porówna pomiot Jorkszyrów, wynoszący średnio 5—6 sztuk, z pomiotem naszej świni, który wynosi 7—8 sztuk, czasami więcej.

Sprawa szybkiego tuczenia i wzrostu świń jest jedną z ważniejszych. Wiedzmy o tej naczelnej zasadzie chowu świń, że świnia wtedy dopiero opłaca się, jeśli możliwie prędko wyrosła, utuczyła się odpowiednio i zaraz została sprzedana. Tego wielu nie rozumie i z tego powodu ponosi straty na hodowli świń. Z chwilą tą, kiedy świnia doszła do swej przeznaczonej wagi, powinna być sprzedana, albowiem każdy następny dzień przynosi stratę, powodowaną kosztami wyżywienia tejże sztuki. Nietylko w Wiedniu koszta utrzymania naszej sztuki są duże! Ten punkt to jeden z powodów, dlaczego powstały organizacye, dlaczego te organizacye starają się wyrwać tego małorolnego gospodarza z pod wyzysku jednego „królika świńskiego“, a dostarczenia mu szerokiej rzeszy kupców wiedeńskich i praskich! Jeśli chów świń ma być tem, czem być powinien, to jest szybkim obrotem kapitału, to musi rzeczywiście prędko się odbywać. A odbywać się może, jeśli mamy materyał hodowlany, który prędko daje się doprowadzić do odpowiadającego rynkowi stanu.

Takim materyałem piewszej klasy są Jorkszyry. Już 10-miesięczne mają doskonałą formę, już są zupełnie wykształcone, nie tak jak nasze krajowe świnie, które o wiele później dochodzą do pełnej swej formy. To jeden z najważniejszych powodów, dlaczego Jorkszyry tak są obecnie poszukiwane.

Również wielką gra rolę zdrowotność i odporność na zarazy. Tutaj podobnie jak i z płodnością. W razie zarazy najwięcej pada Jorkszyrów, najmniej naszych krajowych.

W wybredności na zadawane im pokarmy, oraz na pomieszczenie pierwsze miejsce zajmują

Jorkszyry. Są one panami wśród świńskiego rodu. Nie potrafią one jak nasze krajowe swoim świńskim rozumem i sprytem pomyśleć o sobie, lecz muszą wszystko mieć przygotowane i to dobrze, a wtedy dopiero wezmą się do jadła.

Omówiwszy zatem te wszystkie wypadki, które zachodzą przy wyborze ras, przychodzimy do przekonania, że właściwie żadna z ras nie łączy w sobie wszystkich zalet, albowiem każda ma swe dobre i złe strony. Jeszcze Jorkszyry ze względu na wysoką cenę mogą na krótki czas dobrze się opłacać, lecz oprzeć hodowlę na stałe na tejże rasie byłoby zbyt ryzykowne i kosztowne. Pozostaje nam szukać innych dróg, byśmy otrzymali żądany materyał. Tą drogą jest racyonalne krzyżowanie, droga dawno znana i niezawodna.

Mówiąc o krzyżowaniu właściwie nic nowego przez to nie podnosimy. Jest to sprawa od dawna praktykowana i znana. Nam jednak idzie o racyonalne, celowe postępowanie, jakiego dotąd nie było.

Wiemy już, jakiego materyału od nas Wiedeń żąda, wiemy wszystkie dobre i złe zalety ras świń. Przyjdzie nam zatem odpowiednio dobrać, aby przez dobór połączyć dobre zalety świń, złe zaś usunąć. Najlepszym materyałem do krzyżowania jest nasza polska świnia, tak zwana pastwiskowa, z Jorkszyrem. Przez to uzyskujemy — jak to praktyka dowiodła — odporność na zarazy, płodność, niewybredność w pokarmach, po ojcu zaś prędkie tuczenie i dojrzewanie, oraz odpowiednią formę. Mięso zyskuje na jakości, bo nie jest ani łykowate, jak z naszych krajowych świń, ani rozlewające się, lecz staje się miękkiem w miarę, takiem, jakie Wiedeńczyk lubi.

Idzie tylko o to, żeby dalej postępować racyonalnie. Dotąd pierwsze pokolenie, powstałe z krzyżowania, brano do chowu — i cóż się pokazywało? Oto te piękne sztuki dawały tak różne potomstwo, że prawie co sztuka to inna. Dowodem tego są znane transporta świń do Wiednia, gdzie rzeczywiście wszystkie możliwe typy świń znaleźć można, lecz nigdy nie można znaleźć większej ilości sztuk jednego typu czyli kształtu.

Zatem, chcąc otrzymać stały i równy materyał powinniśmy wszystkie prosięta otrzymane z krzyżowania wypasać i sprzedawać. Chów racyonalny świń w danej wsi będzie wtedy, kiedy kilku lub kilkunastu gospodarzy będzie trzymało lochy krajowe lub westfalskie, ale w każdym razie równo dojrzewające, a te lochy pokrywać knurem Jorkszyrem. Knurów właściwie w każdej wsi powinno być conajmniej dwa. Jednego da c. k. Tow. gosp. lub rolnicze, jako knura subwencyjnego, drugiego trzeba kupić. Dwa zaś być muszą, albowiem jeden, gdy podrośnie, może być użyty tylko pod sztuki większe, podczas gdy drugi mniejszy może pokrywać sztuki mniejsze. Na zakupno dobrego knura żałować nie trzeba i tanio też nam nie przyjdzie. Dobry knur, dobra forma potomstwa, o tem pamiętajmy! Z chwilą, gdy przyjdzie zapłacić za knura, też nie oszczędzajmy, bo to głupia oszczędność! Lepiej dwa razy więcej dać za stanowienie dobrym knurem, albowiem wydatek ten wam dobrze się opłaci. Przy wyborze knura należy dobrze się zastanowić. Najlepiej zrobi ten, kto w tej sprawie zwróci się do Zarządu głównego Kół. rol., gdyż tutaj dobrze mu wybiorą, nie pozwalając wsunąć mu lichoty.

Przew. Kół. rol.

Wyrąb i sprzedaż mięsa przez rolników.

Ważną sprawę wyjaśniło obecnie ministerstwo handlu, wydając. jak donosi *„Przew. kółek roln."* rozporządzenie w sprawie bicia bydła i sprzedaży mięsa przez rolników.

Wiadomo, że w razie wypadku z bydłem czy nierogacizną wolno właścicielowi sztukę dobić i mięso — po uiszczeniu podatku spożywczego dzierżawcy tej opłaty — sprzedawać. W takim razie rolnik z konieczności przeprowadza rzeź i zajmuje się z musu spieniężeniem mięsa, ażeby przynajmniej częściowo pokryć poniesioną stratę.

Jeżeli jednak rolnik próbował zabić zupełnie zdrową sztukę własnego chowu, nie przynaglony do tego żadnym wypadkiem, na to, aby przez sprzedaż mięsa uzyskać nieco wyższą cenę, niż mu handlarz na targu czy na jarmarku za nią dawał, wtedy zwykle był narażony na dochodzenia i kary ze strony władzy przemysłowej za niedozwolone wykonanie przemysłu. Rzeźnik czy masarz, wykonujący swój zawód w danej miejscowości czy okolicy, wnosił przeciw rolnikowi skargę do starostwa, jako do władzy przemysłowej, a stamtąd niebawem spadały grzywny, odstraszające każdego rolnika od wyrębu i sprzedaży mięsa. W ten sposób utarło się przekonanie, że rolnik tylko wtedy sztukę jakąś zabić może i mięso sprzedać, jeżeli do rzezi zmusiła go konieczność, a więc wypadek zasłabnięcia bydlęcia, złamania nogi, wzdęcia i t. p. Pozatem uważano każdą wykonaną rzeź za wyłączny przywilej rzeźników i masarzy, jako posiadających koncesyę na wykonanie tego przemysłu.

Tymczasem okazało się, że wymiary kar, stosowane wobec rolników przez władze przemysłowe pierwszej instancyi za niedozwolone wykonywanie przemysłu rzeźnego, nie miały prawnych podstaw. Doniosłą tę dla rolników sprawę wyjaśniło obecnie rozporządzenie Ministerstwa handlu. W piśmie swem zaznacza Ministerstwo handlu, że zbadawszy akta różnych rozpraw karnych o nieuprawnione wykonywanie przemysłu rzeźnego, stwierdzić musi, że przeprowadzano dochodzenia i wymierzano kary ze strony władz przemysłowych i instancyi w przeważnej części zupełnie niesłusznie.

Wedle ustawy przemysłowej wolno nawet osobom, które z zawodu nie są rolnikami, jednak w swem gospodarstwie zajmują się hodowlą zwierząt, podjąć rzeź wyhowanych przez siebie sztuk i przeprowadzić sprzedaż mięsa, jeżeli czynności te przeprowadzają nie stale. Wtedy tylko możnaby mówić o przekroczeniu ustawy i o podejmowaniu czynności, przysługujących wyłącznie rzeźnikom i masarzom, gdyby rzeź odbywała się regularnie.

Tem mniej można mówić o bezprawnym wyrębie i sprzedaży mięsa w tych wypadkach, gdy rolnik zabije bydlę czy bezrogę własnego chowu aby przez sprzedaż mięsa osiągnąć większą kwotę za sztukę, niż mu rzeźnik czy masarz za nią dawał. Wyrąb i sprzedaż mięsa przez rolników uważane być powinny jako uboczna gałąź gospodarstwa rolnego. Czynności te wykonywać wolno rolnikowi bez osobnej koncesyi, byleby tylko na rzeź przeznaczał swe własne, prez siebie wyhodowane sztuki. Wolno mu nawet w ciągu roku

zabić na rzeź celem sprzedaży mięsa kilka czy kilkanaście sztuk, bez naruszenia praw koncesyonowanych rzeźników, jeżeli ilość ta odpowiada rozmiarom gospodarstwa. Rzeź sama i sprzedaż powinna być wykonywana albo przez gospodarza samego albo przez czeladź czy robotników, stale w jego gospodarstwie zajętych. Dopiero, gdyby rolnik powołał do wykonania czynności zawodowo wykształcone osoby i zaprowadził specyanie urządzenia rzeźne, wtedy proceder, przez niego wykonany, nie mógłby być uważany już za uboczną gałąź gospodarstwa rolnego, lecz byłby rzeczywistym wykonaniem przemysłu rzeźnego, na który trzeba posiadać osobną koncesyę.

Taka jest wskróceniu treść ważnego rozporządzenia ministerstwa handlu. Przez nie uzyskuje rolnik swobodę przy rzezi bydła rogatego i nierogacizny swego chowu i pozbywa się obawy, że naruszył prawo koncesyonowanych rzeźników. Odtąd wie, że choć sztukę jakąś zarznie i mięso sprzedawać będzie nie spadną na niego żadne niespodziewane dochodzenia i kary. W niejednej gminie pozwoli to urególować cenę mięsa w legalny i dogodny sposób, a nieraz i sztukę lepiej spieniężyć, niż na targu. Samo się przez się rozumie, że od każdej zabitej sztuki musi być opłacony podatek spożywczy w wysokości oznaczonej taryfą i że zachowane być muszą przepisy sanitarne, dotyczące sprzedaży mięsa.

Co słychać w świecie?



Rewolucya w Turcyi.

Rolnicy! Rozszerzajcie „Rolę“ wśród Znajomych i Przyjaciół! Piszcie komu wysyłać numery na okaz!

Cierpienia emigrantów.

(W kolei. — Baraki emigranckie. — Piekło na okręcie. — Głód i skutki. — Niema pracy).

Milwaukee 15-go marca.

Z ciężkiem sercem pożegnałem mego ojca i rodzeństwo i ruszyłem w świat, by go poznać jak najwięcej, a zarazem polepszyć swą dolę. Wyjechałem z Pol. Ostrawy, zdążając przez Bogumin, Racibórz do Hamburga, portowego miasta. Po drodze przyłączały się do mnie nowe grupy osób różnej narodowości. Wśród nich było można zauważyć tu i ówdzie agenta, który ludzi młodych, niedoświadczonych przeprowadzał przez granicę i podobnie jak pruscy konduktorzy, którzy wychodźców „naciągali“ co się dało, wyłudzając od nich wódkę i pieniądze.

W pociągu panował ścisk wielki. Do przedziału na 11 osób wpychano tu i ówdzie po 16, a nawet 18 osób wraz z ich pakunkami. Uczyniwszy to, konduktor zatrzasnął drzwi i nie troszczył się więcej o to, czy jadący mają gdzie usiąść spocząć, czy nie. Niejeden więc z podróżnych, jadąc dzień i noc koleją, szukał oparcia i spoczynku na brudnej, plwocinami zeszpeconej podłodze wagonu. Ale o to się żaden urzędnik niemiecki nie troszczył. Każdy podróżny też odetchnął swobodniej, gdy pociąg stanął w Hamburgu. Wprowadzono wszystkich wnet do „Hal emigranckich“ i zaczęło się badanie lekarskie, gdzie chodziło o to, czy ktoś nie jest chory na oczy i czy niema strupu „favus“ na głowie. Mężczyzn badano osobno, kobiety także osobno. Kilkunastu wrócono nazad. Biedni, gdy im powiedziano, że nie mogą jechać do Ameryki, to zbledli jak trup i zaczęli drżeć, a temu i owemu stoczyła się po twarzy łza jak groch. Ale musieli wrócić.

Po badaniach lekarskich dano nam coś zjeść i kazano zakupić od agentów bilety okrętowe, poczem zaprowadzono nas do pawilonów sypialnych, kobiety osobno, mężczyzn tak samo. W pawilonach było dosyć czysto. Każdy też otrzymał osobne łóżko, nakryte kołdrą i jedną małą, twardą poduszkę pod głowę. W sypialniach wolno było być tylko w nocy, w dzień natomiast spędzali ludzie czas — do południa na przechadzce w obrębie pawilonów, popołudniu zaś wychodzili do miasta, by się przyglądnąć płynącym po kanałach łodziom różnej wielkości, lub wspaniałym wystawom i ogromnie ożywionemu ruchowi wielkomiejskiemu. Po takiej przechadzce chętnie spieszył każdy z powrotem do hal, by spożyć podaną sobie przekąskę. Jedzenie dawano trzy razy do dnia w wspólnej jadalni. Było bardzo liche i podawano je w zadziwiająco szczupłych porcyach. Żydzi stołowali się całkiem osobno. Jeżeli w „Halach“ ogólnie narzekano na zły wikt, to cóż dopiero mówić na okręcie. Płynąłem na okręcie „Pensylwania“ przeszło 14 dni z Hamburga do New.-Yorku. Przez ten szereg dni miałem sposobności dosyć przypatrzeć się, jak tam naszych ludzi, Polaków ze wszystkich trzech zaborów, traktowano. A była naszych spora gromadka, bo około pół tysiąca. W trzeciej klasie, t. zw. trzeciej kajucie, niedawno zaprowadzonej, było naogół dosyć znośnie, ale co się tyczy t. zw. międzypokładu, czyli czwartej klasy, to trzeba koniecznie powiedzieć, iż tam był prawdziwy padół łez, płaczu i przekleństw.

Niektórych ludzi wprost rozpacz ogarniała, inni modlili się żarliwie, prosząc Boga o rychłe ukończenie męczarń znoszonych, inni wreszcie klęli, aż świszczało, ale... napróżno. A był powód do tego. W malutkich bowiem przestrzeniach umieszczano po 150 ludzi, wskutek czego z braku dostatecznej wentylacyi, zwłaszcza podczas burzliwej pory, powietrze było tam duszące, niemożliwe zgoła do oddychania. Leżeli też ludzie obojga płci, różnej narodowości na łóżkach, wznoszących się w dwóch rzędach, jedne ponad drugie, prawie bez czucia, osłabieni. Stan ten niemocy, a w końcu apatyi, został wywołany przez trzy rzeczy: brak dostatecznej ilości świeżego powietrza, bardzo zły wikt i nieuniknione na morzu kołysanie się okrętu. Z tego też powodu jeden mężczyzna na „Pensylwanii“ umarł. Wrzucono go nocą rybom na pożarcie. Krążyły pogłoski, że więcej osób umarło, ale nie wiem ile w tem prawdy, gdyż takie rzeczy ukrywa się na okręcie najgłębszą tajemnicą.

Wikt był na morzu — jak wspomniałem — bardzo lichy, daleko nawet gorszy, niż w „Halach“ w Hamburgu. Dawano często śledzie, nieraz mocno nadpsute, ziemniaki w łupinach, kapustę, bardzo kiepski rosół, mięso w malutkich porcyach, nieraz nawpół surowe, kawę ledwie że zabieloną mlekiem, rozumie się, że nie ocukrzoną należycie, podobnie jak i herbatę. Na mięso to się jeszcze rzucali ludzie, rozchwytując je w mig tak, że kilku coś otrzymało, a reszta nic. Jeżeli więc ktoś nie chciał z głodu umrzeć, musiał ostatniego centa wydać na zakupienie sobie żywności. Drogo sprzedawane pożywienie i piwo, a nawet wódka, były w dość dobrym gatunku. Służba na okręcie była wyłącznie niemiecka, zaledwie kilku umiało cośkolwiek po polsku, względnie po rusku i t. d., ale polskim językiem nie chcieli się porozumiewać z podróżującymi Polakami, chyba w ostateczności. Nieraz też służba lekceważyła sobie, potrącała i lżyła kobiety i mężczyzn. Niekiedy atoli nie wyszło jej to na dobre. Oto raz np. jakiś marynarz za urągające traktowanie chłopa polskiego tak dostał od niego w „mordę“, iż legł jak długi na ziemi. Odtąd miał spokój.

Ja podróżowałem „trzecią kajutą“, która swem urządzeniem jest wielce zbliżona do „drugiej kajuty“. W „trzeciej kajucie“ jest osobna jadalnia o nakrytych stołach. Jedzenie, podawane 5 razy do dnia, nie jest wybredne, ale znośne. Obsługa osobna, podczas gdy w „międzypokładzie“, każdy naczynia do jadła, jak łyżki, talerze i garnki musiał sam sobie myć i czyścić. W trzeciej kajucie są sypialnie na 2—6 osób, małe, ale w porównaniu do „międzypokładu“ są ponętą. Mojem zdaniem — powinno społeczeństwo, czy to polskie, czy inne, dążyć usilnie do tego, by zmusić kompanie okrętowe do zniesienia t. zw. „międzypokładu“, względnie do przekształcenia go na „trzecią kajutę“. W obecnym bowiem stanie „międzypokład“ jest hańbą tak kompanii jak i społeczeństw. Zwierzęta, bydło, ma naogół lepsze pomieszczenie i większych doznaje wygód, niż podróżujący w „międzypokładzie“ na takim okręcie, jak „Pensylwania“.

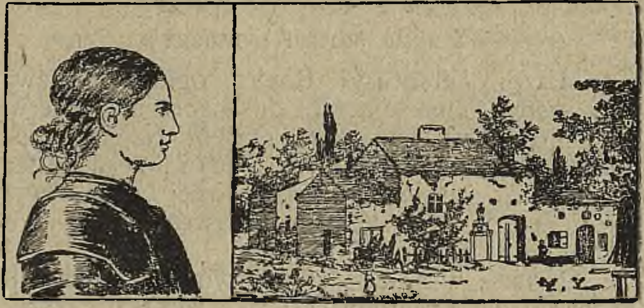
Każdy też głęboko odetchnął, gdy się ukazały brzegi Półn. Ameryki. Wyjechaliśmy 20, względnie 19 lutego b. r., a wylądowaliśmy 7 marca. Odbyła się rewizya urzędników cłowych, oględziny lekarskie na „Ellis Island“ i każdy pociągiem odjechał do kresu podróży. O to, aby dobrze dojechać do celu, nie trzeba się w Ameryce wcale troszczyć, o to bowiem troszczą się urzędnicy kolejowi i inni. A nawet, gdyby ktoś chciał gdzieindziej jechać, a nie za wskazanym przez siebie raz adresem, to mu tego uczynić niewolno. Po wyjściu z wagonu kolejowego w danem mieście, odwiozą podróżnego dorożką aż do samego domu znajomych czy krewnych. Tu dopiero opieka urzędników różnych się kończy i człowiek staje się wolnym, swobodnym jak ptak. Ale teraz też zaczyna się w całej mocy troska i walka o byt, tem cięższa, iż lepsze czasy jeszcze nie powróciły. Z ledwością tu i tam przyjmują fabryki po kilku, kilkunastu ludzi do pracy, tysiące zaś jest bez pracy.

Alojzy Piskorz. (Przegl. Em).

Zawalenie się kościoła w Inowrocławiu.

Na Śląsku pruskim w Wielki Piątek, kiedy wierni zgromadzeni byli w kościele Matki Boskiej na nabożeństwie popołudniowem, nagle rozległ się trzask niby huk armatni, a równocześnie poczęła się rysować ściana lewej nawy kościelnej i pękała posadzka wśród powtarzającego się co chwila łoskotu. Wierni opuścili świątynię. W tem zapadła się przy lewym portalu ziemia

Z pastuszki — wojowniczka.



Joanna d'Arc. (Patrz „Nasze ryciny“).

na przestrzeni około czterdziestu metrów naokoło i utworzyła się ogromna przepaść, która w jednej chwili pochłonęła portal i część muru aż pod sam dach. Z przepaści buchnęła woda na kilka metrów w górę, a kiedy ustąpił kurz i pył, ukazało się przez zapadnięty na 25 metrów mur wnętrze kościoła.

Wieść o katastrofie rozbiegła się lotem błyskawicy. Ludność tłumnie podążyła na miejsce nieszczęścia i mimo grożącego niebezpieczeństwa, poczęła wynosić wszystko co się dało, jak ławki, obrazy, dekoracye i t. d. W ten sposób uratowano i odwieziono do starego kościoła Panny Maryi wszystko prócz marmurowych ołtarzów, organów i dzwonów.

Około godziny 7 i ćwierć runęło w otchłań także prawie całe sklepienie lewej nawy kościelnej. Rozległy się wśród zgromadzonej publiczności okrzyki grozy i głośne płacze i poczęły obiegać coraz to więcej niepokojące wieści. Tymczasem stan rzeczy pozostawał niezmieniony, a łoskot i trzask wewnątrz kościoła stawały się rzadszemi. Publiczność nieco uspokojona powróciła do domów, na miejscu katastrofy pozostało jedynie wojsko.

Do pierwszego święta do godz. 10 wieczorem było zupełnie spokojnie, od tego czasu kilkakrotnie opuściła się ziemia ku północnemu wschodowi, w pole. Wzdłuż ścian kościoła dół jest teraz mniej więcej 20 metrów długi, szerokość wynosi około 10 metrów. W dole dwa metry niżej znajduje się woda i to słona, i jak pomiary wykazały, jest ona od dwóch do trzech i pół metra głęboka. Podczas Świąt zjechało do Inowrocławia wielu ciekawych, a także komisya urzędowa.

Podług zdania rzeczoznawców za miejscem nieszczęścia znajduje się pokład soli, którego dotychczas dostatecznie nie zbadano, ani się nim też wiele nie zajmowano. Pokład ten odgrodzony jest od reszty pokładu soli wałem z kamieni. Nad solą znajduje się przypuszczalnie pokład gipsu, który w wodzie się rozpuścił, lub też woda wyduszoną została na wierzch. Miejsce zapadnięcia leży w pobliżu kościoła, woda jednakowoż podmywa teraz brzeg ziemi i powoduje jego zapadanie się. Według zdania rzeczoznawców *kościołowi już nic nie grozi,* chyba że zajdą nieprzewidziane wypadki. Powodzenie zależne będzie od rychłego rozpoczęcia prac nad ocaleniem kościoła. Wodę należy usunąć, by nie podmywała murów i otwór zasypać ziemią.

Piękny kościół stał dopiero lat kilka.

Mądre owady.

(Z życia pszczół i mrówek).

Uczony francuski Bonier ogłosił niedawno cały szereg interesujących doświadczeń i obserwacyj (spostrzeżeń) nad życiem pszczół. Najgłówniejsze znaczenie tych doświadczeń i badań polega na tem, że dotyczą one jednej z najbardziej zagadkowych stron natury tak znanych powszechnie owadów, jak pszczoły i mrówki.

Nigdzie w świecie zwierzęcym, nie wyłączając najwyższych przedstawicieli — zwierząt ssących (człowiek, oczywiście, nie może tu być brany w rachubę) życie społeczne zbiorowe nie dochodzi do tak wysokiego rozwoju, tak zupełnej doskonałości, jak w świecie owadów — wśród pszczół i mrówek. Nowe doświadczenia i badania Gastona Bonier nad pszczołami mogą służyć za wymowną pod tym względem ilustracyę. Oto kilka z tych obserwacyj.

Pszczelarzom od dawna już dobrze wiadomo, że pszczoły, udając się na zbieranie słodyczy z kwiatów, zawsze dopełniają bardzo równomiernego podziału pracy; nigdy nie obserwowano, aby pszczoły razem rzucały się na najbliższe od ulów rośliny miodonośne, przeciwnie, owady te zawsze stosują się do ilości roślin miodonośnych. Jeżeli ilość tych ostatnich w pobliżu ula nie wielka, to zostawiają odpowiednią liczbę pszczół, reszta zaś nie dotyka tutaj kwiatów i leci dalej, gdzie w ten sposób zbieranie słodyczy z roślin miodonośnych na pewnej przestrzeni jest prawidłowe, podzielone pomiędzy określoną liczbę pszczół.

Można było przypuszczać, że obserwacye te są tylko pozorne. Dla potwierdzenia ich, w każdym razie, potrzebne były doświadczenia. Te właśnie doświadczenia zostały przeprowadzone przez Gastona Bonier. Ściął on dziesięć kwitnących gałązek jakiejś miodonośnej rośliny i umieścił je w szklance z wodą w swym ogrodzie, w ustronnem miejscu, zwykle wcale nie odwiedzanem przez pszczoły. Woda w szklance była zmieniana; zamiast zwiędniętych gałązek wsadzono nowe. W tych warunkach kwiaty zawsze w obfitości wydzielały słodki sok.

Na drugi dzień do szklanki przyfrunęła jedna pszczoła, którą Bonier zaraz obsypał czerwonym proszkiem aby ją naznaczyć. Obejrzawszy dokładnie kwiaty w szklance, pszczoła odfrunęła i wkrótce powróciła z drugą pszczołą, którą obserwator także obsypał czerwonym proszkiem. Wyssawszy słodycz, obie pszczoły odleciały i w dwadzieścia minut przyprowadziły z sobą jeszcze trzy towarzyszki, które Bonier także obsypał czerwonym proszkiem.

Nazajutrz do tych pięciu pszczół przyfrunęła jeszcze jedna, ale, ujrzawszy swe towarzyszki i jakby widząc, że liczba ich jest dostateczną do wyssania słodyczy z kwiatów odfrunęła niezwłocznie i już nie wracała. Wtedy Bonier postanowił podwoić liczbę kwiatów w szklance i ku swemu zdziwieniu wkrótce się mógł przekonać, że liczba pszczół także się powiększyła; do pięciu poprzednich przyłączyło się pięć nowych. Gaston Bonier powtórzył tę próbę kilka razy i zawsze z jednakowymi rezultatami.

Przytoczymy jeszcze szereg innych doświadczeń, z których widać, że pszczoły zdolne są do rozumnej i świadomej działalności. Na skale w cienistej części ogrodu, Bonier położył kawałek cukru, licząc, że sprowadzi to pszczoły. I nie omylił się. Po pewnym czasie przyfrunęło kilka pszczół, które niezwłocznie obsypane zostały czerwonym pudrem. Lecz dość duży kawałek cukru przechodził siły kilku pszczół, to też pofrunęły do ula, a następnie wróciły, już nie same, lecz z towarzyszkami; te ostatnie nabrały na siebie w poblizkiej sadzawce możliwie jak największą ilość kropel wody i zaczęły nią zwilżać cukier. Praca ta była ponawianą kilka razy, dopóki cukier nie zamienił się w syrop; wtedy pszczoły zabrały go do ula. Od tej chwili — mówi Bonier — praca pszczół przybrała taki kierunek: leciały one najpierw do sadzawki, nabierały możliwie jak największą liczbę kropel wody, potem rzucały się na cukier, zwilżały go i zamieniony w syrop unosiły z sobą do ula. Trwało to dopóty, dopóki wszystek cukier nie został zebrany, przyczem i tutaj w pracy uczestniczyła określona liczba pszczół, inne pszczoły nie mieszały się do tego.

Jeszcze jedna ciekawa obserwacya tegoż samego badacza godna jest przytoczenia. Bonier wpuszczał krople syropu w kwiaty, na których siadały pszczoły, te ostatnie bardzo chętnie zabierały ten syrop, później jednak uczony badacz zamiast syropu wlewał krople czystego miodu z ulów. Pszczoły zdawały się być zdziwione taką zmianą; zaczęły zlatywać się w coraz większej liczbie i po pewnym czasie ukazał się cały ich rój, tak że Bonier musiał włożyć siatkę, ponieważ pszczoły okazywały wielkie zaniepokojenie, rzucały się grupami w różne strony, starannie badały wszystkie zakątki, widać było, że czegoś szukały i dopiero po pewnym czasie, przekonawszy się o bezpodstawności obaw, wróciły do swego ula i uspokoiły się.

Co to znaczy? Pszczoły wiedzą dobrze, że w przyrodzie niema gotowego miodu; miód gotowy wziąć można tylko z drugiego ula. Widząc, że pszczoły przynoszą w znacznej ilości gotowy miód, cała kolonia przychodzi do przekonania, że w sąsiedztwie

ukazał się jakiś nowy ul, być może dzikich pszczół, i cała kolonia powstaje „jak jeden mąż", aby przyłapać na miejscu nieproszonych gości i wypędzić ich. I dopiero przekonawszy się o swym błędzie, pszczoły uspokajają się i wszystko wraca do dawnego trybu. Ten niepokój i przyczyny, które go wywołują, świadczą o wysokim rozwoju natury pszczół.

Według obserwacyi Boniera, taka świadoma celu działalność ujawnia się szczególniej we wspólnej pracy pszczół. Każda pszczoła pojedyncza rzadko ujawnia zdolność świadomego postępowania, a gdy znajdzie się w nowych warunkach, to nie wie, jak ma sobie radzić; nie można jednak tego powiedzieć o całej kolonii lub ulu; za to w gromadzie pszczoły postępują zawsze rozumnie i ze świadomością swego celu.

Bonier nieraz miał sposobność przekonać się, jak pszczoła, znalazłszy się przed trudnem do rozwiązania zadaniem, które postawił jej badacz, powracała do ula i dopiero potem przy pomocy kilku innych pszczół mogła podołać zadaniu, które przedtem przechodziło jej siły.

Ten zbiorowy rozum obserwować można nietylko u pszczół ale i u mrówek, u których dzięki właśnie takiemu zbiorowemu rozumowi życie społeczne dochodzi do wysokiego stopnia rozwoju i doskonałości.

Meller, który starannie badał kilka rodzajów mrówek w Ameryce podzwrotnikowej, przyszedł do przekonania, że mrówki umieją hodować grzyby, które są ich jedynym pokarmem. Mrówki odcinają na drzewach kawałki liści, znoszą je do gniazd, rozcierają swemi łapkami, dopóki nie wytworzy zię specyalna masa. Ta masa jest jakby glebą, w której mrówki sieją grzyby, używane przez nie za pokarm. Zaznaczyć tu należy, że w przyrodzie niema wcale takich grzybów, jakie hodują mrówki w Ameryce podzwrotnikowej. Są to specyalne gatunki, hodowane tylko przez mrówki i odpowiadające w zupełności ich wymaganiom.

Jakkolwiek na pierwszy rzut oka obserwacye te wydawały się fantastycznemi, to jednak w najnowszych czasach potwierdziły je liczne badania. Nie tylko zresztą mrówki amerykańskie odznaczają się zdolnością hodowania specyalnej formy grzybów; kilka innych rodzajów mrówek także hoduje grzyby, ale już innej formy, której także nie można spotkać w przyrodzie w stanie dzikim. W jednym i drugim wypadku grzyby te zostały wyhodowane w ten sam sposób, jak człowiek wyhodował mnóstwo nowych form roślin, nie spotykanych zupełnie w stanie dzikim. W jaki jednak sposób mrówki mogły rozwiązać zadanie, które, zdawać się mogło, dostępne było tylko dla tak obdarzonego wyższym rozumem stworzenia, jak człowiek? Jest to w każdym razie jedna z największych zagadek natury.

KRONIKA.

Nasze ryciny. Obok sceny, odnoszącej się do artykułu ,,Co słychać w świecie" o rewolucyi tureckiej, zamieszczamy wizerunek Joanny d'Arc i domu, w którym się urodziła. Joanna d'Arc (czytaj: Dark), jest słynną bohaterką francuską z wieków średnich. Gdy do kraju wpadli Anglicy, gdy cały naród wydawał się ich zdobyczą i nie umiał się bronić, Joanna d'Arc, pastuszka z Domrémy, wystąpiła na czoło narodu. Opowiedziała, że ukazuje się jej Matka Boska i Święci, nakazujący jej stanąć na czele wojsk i zwyciężyć Anglików, aby oswobodzić kraj. W zbroi rycerskiej, dowodząc hufcami mężnych, pastuszka Joanna istotnie zwyciężyła za mocą Bożą, a Kościół św. uznał ją teraz Błogosławioną. Ogłoszenie nastąpiło w ubiegłą niedzielę w Rzymie; przybyło tam wielu Francuzów, którzy zapełnili swym tłumem kościół św. Piotrą po brzegi. Ojca św. witano entuzyastycznie. Pius X. ogłosiwszy Joannę d'Arc Błogosławioną, spełnił życzenia całej katolickiej Francyi, która czci swą bohaterkę narodową i pragnęłaby ją widzieć co rychlej kanonizowaną, t. j. ogłoszoną za świętą.

Siczyńskij skazany na śmierć. Morderca ś. p. Andrzeja Potockiego, Mirosław Siczyńskij, został skazany na śmierć po dwudniowej rozprawie sądowej we Lwowie. Siczyńskij oświadczył przed sądem, że chciał zabić namiestnika. Przysięgli potwierdzili winę jednogłośnie, ale prosili trybunał o przedstawienie zbrodniarza do łaski cesarskiej.

Agitacya amerykańska zarzuca coraz nowe sieci na mieszkańców Galicyi. Obecnie niejaki p. Canon z Antwerpii rozrzucił po kraju mnóstwo druków do obywatelstwa wiejskiego, do duchowieństwa, wójtów i t. d., prosząc ich o agitacyę dla swojej linii przewozowej w następujący sposób: ,,Proszę się starać o pasażerów na moją przeprawę, a trud pański sowicie wynagrodzę. Mianowicie: za każdego pasażera jadącego do Ameryki za pańskiem pośrednictwem na moją przeprawę, wynagrodzę panu koron 12 — za jadących do Kanady wynagrodzę panu koron 6 — zaś za dzieci od 1 do lat 13 połowę. Prowizyę tę może pan sobie ściągnąć przy nadesłaniu zadatków, lub mogę stąd nadesłać po wyjeździe pasażerów".

Tego rodzaju listy i druki otrzymują obywatele, którzy nigdy w roli ajentów nie występowali. Szczególniej zależy p. Canonowi na wychodźtwie do Kanady, albowiem do przesyłki doręczył broszurkę, wysławiającą tę ,,błogosławioną dla wychodźców" ziemię w tak gorącej formie i ponętnych barwach, że po jej przeczytaniu wielu czytelników może się dać uwieść złudnym frazesom. Tego rodzaju szkodliwą agitacyę towarzystw przewozowych, mających na oku tylko własny interes, należałoby zwalczać energicznymi środkami. Widzimy ile spekulant chce płacić za głowę, to istny handel ludźmi!

Postrzelony przez sołdata. W grudniu 1905 r. wybrał się p. Kornel Celewicz, technik, syn notaryusza w Uhnowie, wraz z pp. Władysławem i Leonem Stachniewiczami na polowanie do Nowosiółek przednich, położonych tuż przy granicy rosyjskiej. P. Celewicz postrzelił zająca, który jednak pobiegł do pobliskiego lasu, położonego po stronie rosyjskiej. Stojący na straży sołdat, Nykor Onyszenko, przypatrywał się polowaniu, a na prośbę p. Celewicza poszedł do lasu poszukać zająca. Nie znalazł go, a wróciwszy wszczął rozmowę z p. Celewiczem. Prosił go o papierosy i o pozwolenie obejrzenia strzelby, którą p. Celewicz mu podał. Żołnierz zarzucił strzelbę na ramię, a wówczas p. Stachniewicze przeczuwając coś złego, poczęli uciekać. Sołdat strzelił kilkaktotnie za uciekającymi, lecz chybił. P. Celewicz, widząc, że to nie żarty, również począł uciekać. Wtedy sołdat znowu strzelił, trafiając p. Celewicza w lewą nogę. Raniony padł na polach po stronie austryackiej dość daleko od granicy. Na odgłos strzałów nadbiegli z pobliskiego posterunku sołdaci i na noszach sporządzonych

zanieśli p. Celewicza do koszar granicznych, a stamtąd do pobliskiego Tomaszowa. Dopiero po wielkich trudach udało się p. Celewiczowi wydostać syna. Po przeprowadzonych dochodzeniach karno-sądowych wniósł p. Celewicz prośbę do ministeryum spraw zagranicznych o przyznanie odszkodowania synowi Kornelowi. Sprawa została teraz ostatecznie załatwioną. Rząd rosyjski przyznał p. Celewiczowi odszkodowanie w kwocie 10.000 rubli.

Przestroga przed Ameryką. Urzędowe pisma Stanów Zjednoczonych, donosząc o wylądowaniu w Nowym Jorku 900 przeważnie słowiańskich wychodźców, zastanawiają się nad ich smutnym losem, który emigrantów w fatalnych finansowych warunkach Ameryki niechybnie czeka. Wszystkie fabryki i większe zakłady w kraju ograniczają płacę i liczbę wyszkolonych robotników – a o przyjęciu świeżych sił ani słyszeć nie chcą. Jeszcze gorzej przedstawiają się stosunki rolnicze w całej Ameryce.

Pożar. W Czernichowie koło Krakowa spłonęły cztery gospodarstwa włościańskie.

Świętokradztwo. Przy ulicy Dajwór w Krakowie znaleziono ukryte kielichy kościelne, patyny, wota srebrne, połamane części monstrancyi itd. Sprawdzono, że znalezione aparaty kościelne pochodzą z kradzieży w kościele w Choczni pod Wadowicami. Obecnie zbadano, że złodziej czy złodzieje prosto po kradzieży kościelnej udali się do urzędu pocztowego i tu zakradli się do izby mieszczącej kasę. Podczas operacyj około kasy zbudził się pocztmistrz i strzałami rewolwerowymi spłoszył złodziei. Przybyli oni do Krakowa; w czasie świąt nie mogli spieniężyć łupu, więc go ukryli na Dajworze. O ile wiadomo policya jest na tropie złodziei.

Praprababka! W Guilvinec (Francya) żyje wdowa Le Cleach 87-letnia, której liczba dzieci, wnuków, prawnuków i praprawuuków wynosi 147. Wdowa Le Cleach, z domu Anna Compez, wyszła zamąż majac lat 15. Z małżeństwa tego urodziło się 14 dzieci, z których sześcioro jeszcze żyje. Najstarsza — córka — ma obecnie 66 lat, najmłodszy — syn — ma 46 lat. Córka tej najstarszej córki jest od dawna już babką. Mężczyźni są marynarzami. Liczna ta rodzina zamieszkuje całą ulicę. Praprababka zna imię i nazwisko każdego z członków i ma nadzieję doczekania się piątego pokolenia.

Ścinanie drzew za pomocą elektryczności zaczęto stosować w ostatnich czasach w Ameryce. Próbowano tam zrazu ścinać drzewa przy pomocy piły poruszanej siłą pary, lecz motor ten był za ciężki i łatwo mógł spowodować pożar. Spróbowano więc przecinać drzewa drutem platynowym, rozżarzonym do białości elektrycznością, a próby te dały tak dobre wyniki, że nowy ten sposób ścinania drzew szybko się rozpowszechnia. Potrzebną do tego maszynę ustawia się w miejscu, gdzie nie grozi niebezpieczeństwem pożaru, prąd zaś sprowadza się według potrzeby przewodami. Aparaty te są o wiele lżejsze i mniej skomplikowane od pił parowych, a przytem elektryczność funkcyonuje tak doskonale i szybko, że ścinanie drzew tym sposobem pociąga znaczne zmniejszenie się kosztów wyrębu.

Jednajcie nowych czytelników,
By rosła siła wśród rolników!

Garbus.

1.

Było to w kilka miesięcy po mojem ożenieniu się. Pewnego letniego wieczora siedziałem późno w nocy w moim gabinecie, paląc fajkę i nudząc się nad jakimś angielskim romansem. Cały dzień przepędziłem wśród wytężającej pracy, mimo to jednak nie byłem jeszcze senny. Moja żona udała się już na spoczynek, także służba zwolniona od zajęć, znajdowała się już u siebie. Prawie wstałem, aby wytrząsnąć popiół z fajki i nałożyć na nowo tytoniu, gdy nagle rozległ się głos dzwonka u drzwi wchodowych.

Spojrzałem na zegar, prawie dochodziła godzina dwunasta. Trudno było przypuścić, aby ktoś jeszcze o tej porze przybywał w odwiedziny, raczej chciano mnie wezwać do jakiegoś chorego. Wydłużyła mi się mina, bo po całodziennym trudzie nie była to zbyt zachęcająca perspektywa. Ale mimo to zszedłem na dół i otworzyłem bramę. Ku mojemu niezmiernemu zdziwieniu ujrzałem Sherlocka Holmesa, słynnego ajenta śledczego.

— Ach, więc jesteś w domu, drogi Watsonie — rzekł Holmes. Przychodzę, wprawdzie późno, ale widocznie nie zapóźno, skoro jesteś jeszcze ubrany.

— Proszę cię, chodź dalej. Bardzo się cieszę.

— Byłeś zdziwiony, widząc mnie, ale zdaje się, przyjemnie zdziwiony. Hm, ciągle jeszcze palisz ten sam gatunek tytoniu co za kawalerskich czasów. Ta odrobina popiołu na twoim rękawie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Czy możesz mnie przenocować u siebie?

— Z przyjemnością.

— Mówiłeś mi kiedyś, że wasz pokój gościnny jest zawsze w pogotowiu, a widzę, że obecnie nie masz u siebie nikogo, bo na wieszadłach wisi tylko jeden kapelusz.

Podałem mu tytoń; usiadł naprzeciwko mnie i przez chwilę w milczeniu puszczał kłęby dymu przed siebie. Wiedziałem dobrze, że tylko bardzo ważna sprawa mogła go sprowadzić do mnie o tej porze, lecz czekałem cierpliwie, póki sam nie uzna za stosowne wtajemniczyć mnie w swe zamiary.

— Jak widzę, masz obecnie sporo zajęcia — rzekł, mierząc mnie bacznem spojrzeniem.

— Tak jest, dzisiaj zwłaszcza miałem sporo roboty — odparłem — ale skądże ty możesz o tem wiedzieć.

Holmes uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Znam przecie twoje nawyczki, drogi Watsonie. Jeżeli masz tylko niewielką drogę przed sobą, idziesz piechotą. Gdy czeka cię wiele interesów, bierzesz dorożkę. A widzę również, że buty twoje noszą ślady używania, lecz nie są zabłocone. Stąd naturalny wniosek, że musiałeś jeździć dorożką, czyli innemi słowy miałeś wiele zajęcia.

— Wybornie — zawołałem.

— Po prostu — odpowiedział. — To tylko mały przykład, jak zapomocą wnioskowania dojść można do wyników, które zadziwiają słuchacza, jeżeli ten lub ów szczegół całości pominie się milczeniem. Zawsze trzeba znaleźć tylko te powiązania psychologiczne, a sprawa staje się jasna. Ale nie zawsze się to udaje. Ot, w tej chwili ja znajduję się w takiem położeniu. Trzymam w ręku rozmaite

nici niezmiernie niezwykłej sprawy, nad którą niejeden człowiek dobrze łamałby sobie głowę. Niestety brakuje mi kilku takich węzłów i ani rusz nie mogę zoryentować się jasno w całości. Ale muszę je znaleść, Watsonie, muszę związać tę przerwaną nić, dojść aż do kresu.

Oczy Holmesa zabłysnęły ogniem, wychudłe policzki zaróżowiły się lekko. Na krótką chwilę podniosła się zasłona, zakrywająca zawsze jego wewnętrzną istotę, myśli i pragnienia; przejawiła się jego prawdziwa natura, namiętna, niezmiernie wrażliwa. Ale gdy drugi raz spojrzałem na niego, rysy twarzy były już nieruchome, twarde, niby oblicze jakiegoś czerwonego indyanina, nieprzeniknione, obojętne. To był zwyczajny wyraz jego twarzy, który powodował, że większość ludzi, znających Holmesa, widziała w nim tylko maszynę raczej, niż myślącego, czującego człowieka.

— Problem, jakim się obecnie zajmuję — mówił dalej Holmes — wydaje mi się wcale zajmujący. Niektóre szczegóły są nawet naprawdę niezwykłe. Wytworzyłem sobie już pewne zdanie o tej sprawie i zdaje mi się, że posunąłem się znacznie ku rozwiązaniu. Gdybyś chciał mi być pomocnym przy ostatniej mojej próbie, wyświadczyłbyś mi wielką przysługę.

— Ależ bardzo chętnie.

— Czy mógłbyś jutro rano udać się ze mną do Aldershot?

— Owszem. Jakson zastąpi mnie u moich chorych.

— W takim razie odjedziemy ze stacyi Waterloo o godzinie 11·10.

Dla mnie zupełnie odpowiednia pora.

— Jeżeli nie jesteś jeszcze bardzo znużony, w takim razie już teraz opowiem ci dokładnie o wszystkiem, co zaszło i co pozostaje jeszcze do zrobienia.

— Byłem zmęczony zanim przyszedłeś, ale teraz czuję się zupełnie rzeźki.

— Będę się streszczał, o ile to będzie możliwe i przedstawię ci tylko najistotniejsze szczegóły. Być może zresztą, że czytałeś już w pismach o tym wypadku. Zwykle interesujesz się temi kwestyami. Chodzi tu o śmierć pułkownika Barclay'a z 117 pułku, stojącego załogą w Aldershot. Miał on zostać zamordowany.

— Nie, o tem nie słyszałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CENY ZBOŻA i BYDŁA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 20 kwietnia (wtorek) 1909).

Pod wpływem mdłej tendencyi Wiednia i Pesztu targ dzisiejszy nie wykazywał ani większego ożywienia, ani znaczniejszych obrotów.

Ceny nie uległy żadnym znaczniejszym zmianom.

Sprzedawano: pszenicę białą od 00·00—00·00 kor., czerwoną od 12·00—12·80 kor., uszkodzoną 9·60 do 10·70 koron, żyto 10·00—10·50 kor., jęczmień 8·60 do 9·00, owies do siewu 10·30 do 10·70 kor., owies na paszę 9·30 do 10·00 kor., kukurudzę starą 8·80 do 9·60 koron, nową 9·60—10·00 koron, kukurudzę Cinquantino 10·30—10·60 kor., groch zwyczajny 12·00 do 12·70 kor., groch Victoria 13·20—14·50, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 10·50—11·00 kor., bobik 9·00—9·70 kor., rzepak 14·00—14·80 kor., otręby pszenne 6·50—6·70, otręby żytnie 6·60—6·80, koniczyna nasienna czerwona 00·00—000·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 20 kwietnia b. r. spędzono na targ bydła rogatego sztuk: 40, cieląt 486, owiec i kóz —, nierogacizny 325. Razem 855 zwierząt. Płacono za jeden cetnar metryczny żywej wagi: buhaje od 00·00 do 00·00 kor., woły 00·00 — 00·00 kor., krowy 00·00—00·00 jałownik 00·00—00·00 kor., cielęta 00·00—00·00 k., nierogaciznę tuczną 000·00—00·00 kor., bitej wagi: nierogaciznę 140·00—160·00 kor. Z zakupionych na oko płacono za sztukę: woły z paszy 000·00—000·00 k., krowy 120·00—140·00 kor., buhajki i jałówki 64·00—130·00 kor., cielęta 16·00—50·00 kor., owce i kozy 00·00—00·00 kor., buhaje 50·00 — 295·00 kor. — Że spędzonych na targ zwierząt sprzedano sztuk: na miejscową konsumcyę 596, na konsumcyę innych gmin kraju 259, na eksport za granicę kraju bydła rogatego 00, na eksport za granicę kraju nierogacizny 00. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

„Rola“ powinna znaleść się w każdym domu rolnika! Rozszerzajmy „Rolę“!

F. Pamm
Kraków, Zielona 3-200

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.